DZIEWIĘTNASTKA
przystań

Miesięcznik | Nr 185 7 czerwca 2020r.

672 lata temu, we Włoszech szalała epidemia dżumy. Dziesięcioro szlachetnie urodzonych florentczyków zbiegło z miasta, by schronić się przed zarazą w okolicach Florencji. Dla urozmaicenia czasu przez 10 dni dzielili się swoimi historiami.

Giovanni Boccacio tworzy z opowiadanych przez nich historii "Dekameron". I my dzisiaj - zainspirowani pomysłem renesansowego pisarza - postanowiliśmy przekazać Wam, Drodzy Czytelnicy, nasze własne opowieści.

Przed Wami całkiem nowy i wyjątkowy, specjalny numer "Dziewiętnastki". Nie pozostaje zatem nic innego, jak życzyć Wam miłej lektury i - miejmy nadzieję - twórczej inspiracji.

Redakcja "Dziewiętnastki"

Zaczyna się "Dziewiętnastka Dekameron",
w której zawiera się dziesięć nowel,
opowiedzianych przez osiem dziewcząt
i dwóch młodzieńców.

Starsza pani z psem, nie licząc...

Dawno temu pewna pani wracała z zagranicy do swojego wygodnego dworku akurat o dzień za późno, żeby nie przechodzić kwarantanny. Już jakiś czas temu odcięła się od swego paskudnie pazernego (ma to po matce) syna, który liczył na przejęcie majątku, karierowicz jeden. Starsza pani zawsze była trochę paranoiczna i bała się odbierać od niego telefon, mając wrażenie, że potomek chce ją zastać samą w domu i nasłać płatnego zabójcę, żeby co prędzej przejąć fortunę.

Ledwie odniosła bagaże, wypuściła psa i nalała wody do wanny. Już zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie przyszło jej do głowy podać złego adresu w tej durnej ankiecie dla policji.

„Całkiem to możliwe" - myślała leniwie. - „Ale może jednak nie do końca."

Po co tu obcy panowie zaglądający jej w okna, natręci jedni. Sprawdziła, czy woda nie za gorąca: nie, idealnie. Ozdobna wanna, pachnące mydło, dużo rolek papieru, wszystko w najlepszym porządku. A syn? Owszem, dzwonił, miał głos gładki i troskliwy, jakby już zaplanował wszystko - łącznie z datą pogrzebu. Wanna była do połowy pełna, kurek mruczał i chlapał głośno, jakby ktoś odkręcił też ten w kuchni lub na piętrze albo myszkował po kątach.

"Może to urojenia" - pomyślała starsza pani, zamykając łazienkę. - Gdyby kto chciał zabić naprawdę, a przypuśćmy, dla świętego spokoju oczywiście, że taka sytuacja mogłaby się wydarzyć" - powiedziała godnie mamrocząc. - Nie jest

chyba wystarczająco głupi, żeby nie poczekać do końca kwarantanny.

Każdego dnia w oknie, odebrać telefon, nie wyprowadzać psa. Głuchy collie patrzył na nią uważnie. Rasowy. Leniwy. Wierny i niemądry. Oddała mu spojrzeniem lekceważącym i zawiedzionym. Niech ma za swoje. Zostało mi więc czternaście dni." - skonstatowała trzeźwo. - Niezły wynik.

W lodówce - w porządku, masło jest, mleko, jajka, ciasto - kupiła je wczoraj - ale bez jednego kawałka. Talerzyk w zlewie razem z najlepszym widelczykiem. Przecież chyba nie jadła...

Tak tak, już za parę (piąty dzień kwarantanny) dni policjanci jej nie uwierzą i trudno im się będzie dziwić. Można to łatwo zrozumieć: dziwaczne, nowe obowiązki, ogólna histeria, nerwowa starsza pani sama w domu, desperacko próbująca ich zatrzymać, opowiadająca o kimś, kogo nazywa „młodziejem", zapewne nieistniejąca postać. Chce się wygadać, to zrozumiałe, oni nie mają czasu ani wyobraźni, to również łatwe do wyobrażenia.

Trzeciego dnia, we wtorek, obudziła się późno (kto by zasnął przy tych szmerach pustego domu, które nigdy jej jakoś nie przeszkadzały). Zadzwoniła na policję - w końcu miała się meldować jak grzeczne dziecię.

- Tak, proszę pani, proszę się nie martwić, sytuacja pod kontrolą, pewnie pani zapomniała - to rzeczywiście możliwe, pomyślała - Byliśmy u pani o ósmej, machała nam pani zza firanki, tłumacząc, że jest w pijamie - rozłączyła się. Teraz nie miała wątpliwości, ktoś inny rozmawiał przez telefon, w końcu nie mogła powiedzieć: pijama. O nie, niedoczekanie wasze.

Szóstego, kiedy znalazła wypalony papieros w popielniczce (nie pali przecież więcej, niż jeden dziennie, tylko na specjalne okazje...) i wyniesione śmieci, zrozumiała, że jest zdana na siebie i że musi działać poważnie, rozsądnie oraz ostrożnie. Odległy dźwięk, jakby dzwonka z przedpokoju parteru, gdzie były wieszaki i gdzie stał telefon, nieprzyjemnie przerwał jej myśli. Odgłos kroków też nie pomagał. Kroków? Jeśli on odbierze, jeśli swoim fałszywym głosikiem wbije się policjantom w pamięć - koniec. Zerwała się i tak oto, proszę państwa, zaczął się pierwszy z trzech wyścigów do telefonu. W biegu pokrzykiwała bez związku „ja odbiorę" i (co za absurd!) usłyszała „dobrze!" powiedziane spokojnie i pogodnie. Jest już w bibliotece, teraz salon, schody (uwaga, zakręt), hall. Zdyszana. Bardzo. Dzisiejszym zwycięzcą wyścigu jest: starsza pani! Telefon było słychać wyraźnie. Tak, słucham? Jestem, jestem, samotrzeć - pies, ja, on: porachowała szybko, dumna z ukrytej zjadliwości.

W niedzielę (siódmy dzień), kiedy rano w łazience zapinała drobne perły i czesała wiotkie włosy, do łazienki wpadł promień słońca. Jej kosmyki ukazały się, każdy osobno, niesforne i niewychowane, tak jak zawsze były, naszyjnik za to stał się kremowy i mętny. Promień uważnie, równie delikatnie co bezlitośnie oglądał jej czoło i policzki, rysy na szkle

i skórze dłoni, obojczyk i szyję, oba podbródki, plamki na wierzchu dłoni (więcej na prawej) pod oczami i same kąciki, stale wilgotne. O, i lustro, i lustro też nie jak było, idealne, trochę kurzu, w rogu rysa.

- Hm - mruczała, jeszcze tylko parę dni - zmilkły jej myśli, cicho uporządkowała przybory.

Minął wtorek i środa, dużo zamykałą się w bibliotece. „Młodziej" (lepiej nie nazywać go przed policją mordercą, przecież i tak nie uwierzą, głąby) najwyraźniej pościerał kurze. Każdy radzi sobie z nudą, jak umie - rzuciła, przejeżdżając palcem po grzbietach. Odkryła zagięty róg na początku „Solaris", zirytowana, wygładziła stronę i zamiast tego znalazła dla niego zakładkę. Popatrzyła po półkach. Odrzuciła ze wstrętem moralizatorską „Dżumę", nachalnie symboliczny „Prawiek", „Lorda Jima" i „Panią Bovary" z ponurymi zakończeniami. Zastanawiała się chwilę nad Schulzem albo „Doliną Issy" i sięga po „Oho",

z którym to nigdy nie wiadomo, jak się skończy, które szmery wydobędzie z mieszkania. Podobał jej się wiersz o czasie. Poprawiła się w miękkim, pluszowym fotelu, smakując ciepły cień złotego abażuru lampki i starając się nie nasłuchiwać. Jeszcze parę dni, bądź co bądź. Nastroszyła się trochę jak stara kotka, próbująca ukryć, że ani sierść już nie puszysta, ani szparki oczu nie te.

O 2.22, kiedy zdążyła już zasnąć nad książką, pójść do sypialni i przykryta kołdrą, policzyć dwa razy do dziesięciu tysięcy, zeszła do kuchni. Zbyt zaspana, dopiero za drzwiami zauważyła, że światło jest zapalone. Stała, próbując przyzwyczaić oczy do blasku lampy. Szło jej wolniej niż powinno. Pomyślcie tylko: starsza pani, sama w domu, w koszuli nocnej, stoi bez ruchu w drzwiach kuchni w środku nocy, a tam już było zapalone światło.

Nic dziwnego, że on też się zdziwił. Powstrzymał się przed ostatnim kęsem ostatniego kawałka ciasta. Konstatuje, że zostawiła mu go łaskawie, w podzięce za kurze. Nie ma racji, bardziej ujęły ją śmieci. Już chciał się przedstawić, jak grzeczny chłopiec, ale jakoś nawet to nie wypada. Oczy starszej pani nareszcie zobaczyły, ale same sobie nie wierzą. Chudy, dobrze. Bez zarostu - a czemu miałby właściwie mieć? Niewysoki i jakoś tak niewyraźny. - No dobrze, nie takiego się spodziewałam. - dodała.

Pan płatny morderca miał siedemnaście - no dobrze, może nawet osiemnaście lat. Mówił pewnie nawet niepewnym falsetem. Bardzo chciałby dokończyć ciasto wiśniowe.

- A właściwie to czemu chciał mnie pan zabić? - spytała, po chwili, kiedy już siedzieli naprzeciwko.

Przezornie dodała czas przeszły. Za kilka dni będzie miała mniej nadziei. Ale to już po tym, jak piekli ciasto. Po pogoni po domu. Po pertraktacjach. Wzruszył ramionami.

- Mam dostać pieniądze, to i taka fucha dobra - po chwili ciszy przerwanej kaszlnięciem, powiedział, wahając się na początku. - Bo pani wie - ja mam ukochaną. No i nie wierzy mi, że ją kocham. No to jej pierścionek trzeba i będzie dobrze.- Pleciesz androny. - rzecze starsza pani dumnie.

Miała trochę, troszeczkę racji. Ale nie całą. - Zabiłbyś mnie ot tak, małym paluszkiem? - zmrużyła oczy ironicznie. On kiwnął głową i wzruszył ramionami.

- Ja mam ideę. Muszę ją zrealizować to będę ratować ludzi potem. Teraz to muszę, co insze. - opowiadał potem o szklanych domach tak pięknie i sensownie, że - jak na dobrą utopię przystało - starsza pani zachwyciła się i od czasu do czasu dorzucała „och!" albo „ach!". Rozmawiali godzinę i dziesięć minut i z pewnością nie ominęli żadnego z istotnych tematów łącznie z bolączkami przeciążonej służby zdrowia, kinem, zagadnieniem gipsowych rzeźb, techniką sadzenia jabłoni, uciążliwości ptactwa oraz kształtem chmur.

W czwartek gonili się po domu (starsza pani zastanawiała się, czy zdążyła schować wszystkie kuchenne noże) i śmiali się jak małe dzieci, po południu zdążyli pokłócić się, a w piątek piękny młodzieniec upiekł ciasto.

W sobotę starsza pani odkryła, że to trzynasty dzień. Przedostatni. Próbował jej już zaoferować zamianę morderstwa na okup, tylko się obraziła na nieuczciwość oferty. - Hm, zobaczymy - burknąwszy, kaszlnęła brzydko trzy albo cztery razy, założyła perły i poprawiła siwe włosy.

Kiedy w niedzielę wieczorem, po całym dniu przesiedzianym przez nią przy telefonie - dzwoniła co dziesięć minut, niby pytając, czy już jadą, w przerwach pokaszlując nieznacznie dla couragu - przyszli policjanci, była cała mokra, zmęczona i szczęśliwa. Zakopała noże w ogródku, pies chętnie jej pomógł. Młodzieja nie widziała od rana. Funkcjonariusze powiedzieli jej, jaki jest numer infolinii epidemicznej, pouczyli, że już nie zaraża, zapytali, czy wszystko w porządku.

- Poradziliśmy sobie - mówi, widząc kątem oka sylwetkę młodego i uśmiechając się do niego przez ramię. Zakaszlała parę razy, potem kilka razy mocniej. Intruz podniósł rękę z ostrzem przyniesionym od siebie. Starsza pani zawołała na policjantów. Zdziwili się, to przecież cień. Nikogo nie było w ciemności. Coś się komuś pomyliło.

Szafran

A na początku było tak...

Dzień był do tego wprost idealny. Antek spokojnie układał ubrania w szafie. Słońce świeciło i wiał lekki wiatr. Nie mógł wymarzyć sobie lepszej pogody. Sprzątał tak cały dzień i nie widział w tym nic nadzwyczajnego. Lubił to robić. Nie był w żadnym stopniu perfekcjonistą, tylko... zawsze utrzymywał porządek.

Nagle jakiś sporych rozmiarów cień, przemknął za oknem.

- To tylko ptak - powiedział sobie Antek.

Poszedł do kuchni pokrzepić się ulubioną herbatą. Lecz w kuchni zamiast spokoju znalazł pistolet schowany w jego szafce na sztućce. Nie wiedział dlaczego znalazł taki obiekt w swoim domu, ale postanowił się tym nie przejmować. Zrezygnował chwilowo z herbaty i poszedł odłożyć pistolet do pokoju.

- Jutro zaniosę go na komisariat - pomyślał na głos.

Gdy Antek chował pistolet do szuflady, od strony szafy usłyszał ciche chrobotanie.

- To tylko ten głośny sąsiad - stwierdził, próbując poskromić wyobraźnię.

Nagle drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i stanął w nich dziwacznie ubrany mężczyzna.

- Gdzie mój pistolet?! - zakrzyknął bez przywitania.

- Wydaje mi się, że zostawiłeś go u mnie obok sztućców. Niestety nie mogę ci go teraz oddać. W ogóle, nawet nie wiem, kim ty jesteś?

- To nie jest istotne w tej chwili. W twojej szafie jest obcy - powiedział tamten. - Oddawaj pistolet!

Gdy Antek się opierał, dziwny przybysz wyrwał mu go z rąk.

- A teraz stój bez ruchu - zarządził władczo. Chrobotanie nasiliło się.

Przybysz stał nieruchomo z pistoletem wycelowanym w szafę. Cały w napięciu, jakby na coś czekając. Antek zaczynał mieć tego powoli dość. Podszedł, więc do szafy żeby udowodnić (sam nie wiedział, czy bardziej sobie, czy nieproszonemu gościowi), że to tylko sąsiad. Miał już na końcu języka słowa: "Dziękuję za wizytę, do widzenia". Lecz gdy rozchylił drzwi szafy spojrzała na niego para wściekłych oczu, osadzonych głęboko w czarnej głowie. Rozległ się strzał. Z szafy na podłogę polał się kwas.

Antek obudził się głośno dysząc.

- Uf, to tylko sen" - odetchnął z ulgą.

Na wszelki wypadek poszedł jednak sprawdzić, czy z szafy nie wyjrzy na niego zdeformowana czarna głowa. Otworzył drzwi. W środku nie było żadnego stworzenia. Przywitały go rzędy dobrze mu znanych swetrów. Tylko na jednym z nich widniała dziura. Dziura od kwasu.

Wiatrówka

Homme

Elementem nieodłącznym każdych czasów są filozofowie. XXI wiek zbyt nowoczesny, by ich mieć? Otóż nie. Z jednym z nich rozmawiałem tamtego wieczora. To, co mówił było trudne, ale zapamiętałem jedną z najważniejszych jego myśli. Człowiek jest jednocześnie potężny i beznadziejnie nic nieznaczący. Niby nic odkrywczego, a jednak w obliczu dzisiejszych czasów ta myśl nabiera nowego wymiaru.

Wyobraźcie sobie – mówił filozof – Krainę Magii. Mieszkał tam niewielki stworek podobny do skrzata. Miał na imię Homme. Był bardzo inteligentny i potrafił bardzo wiele. Jego dom, konkretniej dziupla w drzewie, pełen był niesamowitych udogodnień, które przyciągały różnych gości. W szczególności jednak wróżki. Homme wstawał codziennie rano, gdy ptaki zaczynały śpiewać i pił napar z magicznych jagód, który dodawał mu siły. Potem wychodził ze

swej dziupli i ruszał, by zająć się bieżącymi sprawami w Krainie. Nie miała ona szczególnej organizacji czy administracji, natomiast Homme był najinteligentniejszym stworzeniem, więc zajmował się nią właśnie od strony logistycznej. Tamtego dnia, wśród ogólnego szacunku, uśmiechów i porannego „Dzień dobry", stworek zmierzał ku Wyroczni po dawkę świeżych informacji z Krainy. Gdy dotarł na miejsce, zastał Wyrocznię zapłakaną. Zdziwił się bardzo, bo takie zjawisko jak łzy zdarzało się w Krainie niebywale rzadko i było powszechnie uznawane za jednostkę chorobową. Prawdopodobnie słusznie, bo Wyrocznia, wyciągnąwszy otwartą rękę do Homme'a, osunęła się na ziemię. Stworek, za pomocą swego unikatowego wynalazku, jakim był Szybkomknący - ogromny liść poruszający się z prędkością wiatru, zabrał Wyrocznię na Polanę Dzieci Róż, by tam znalazła potrzebną pomoc. Udało się ją uratować, jednak straciła ona wszystkie swoje moce. By nie niepokoić innych stworzeń, Homme nakazał milczenie Dzieciom Róż i sam również szybko zapomniał o incydencie.

Życie toczyło się dalej. Homme powiększał swoje zasoby, upiększał dziuplę i zyskiwał jeszcze większe poważanie w Krainie. Stworzył z pajęczyny sieć do komunikacji na odległość, a Szybkomknący stał się powszechnie używany wśród stworzeń. Przyniosło to Homme'owi ogromny zysk, liczony w produkcie najbardziej w Krainie pożądanym – magicznych jagodach. Był tak zaaferowany swoim sukcesem, który niewątpliwie był istotny i przełomowy w życiu Krainian, że nie zauważył płaczących grzybów. Z dnia na dzień było ich coraz więcej. Niektóre więdły, inne stawały na nogę, ale żaden nie był już taki sam jak wcześniej. Istniał jednak jeden zasadniczy problem. Grzyby nie były tak inteligentne jak Homme, więc nie wiedziały co się dzieje, a dodatkowo nie potrafiły mówić, więc nikogo nie poinformowały. Homme przejrzał na oczy, gdy płakać zaczęła jego ukochana wróżka. Połączył fakty i okazało się, że choroba spowodowana była zupą z blaszek grzybów. Płaczących grzybów. Stworek zupełnie nie wiedział co robić. Żaden z jego wynalazków nie nadawał się, by leczyć łzy. Przeważnie płaczące stworzenia umierały, silniejsze przeżywały, ale już zawsze były smutne. Homme nie wiedział czy ogłaszać informację o chorobie w całej Krainie, czy na razie poczekać. Siedział samotnie w pokoju popijając napar z jakże drogich jagód, które w tamtej sytuacji na nic mu się nie przydały. Następnego dnia posłał siostry ukochanej wróżki, by ogłosiły niebezpieczeństwo w całej Krainie. Wybuchła ogromna panika. Stworzenia chowały się do swych domów, a niektóre wylatywały poza granice, do Krainy Snów. Po zgaśnięciu ukochanej wróżki, Homme zaczął pracować nad lekiem na łzy. Jednak nawet w tak tragicznej sytuacji nie potrafił powstrzymać swej ambicji i zabronił Dzieciom Róż ingerować w swoje badania. Chciał sam, jak zawsze, okazać się największym ratownikiem Krainy. Po siedmiu zachodach i wschodach Słońca lek nadal nie istniał, a ścieżki w Krainie spływały potokami łez. Po ósmym wschodzie Homme obudził się z płaczem, ale nadal nie myślał, że to może być koniec. W końcu istniały przypadki powrotu do normalnego stanu. Wstał, wykonał swoje poranne czynności i siadł do pracy nad lekiem. Szło mu jednak ciężej niż zwykle, a łzy przeszkadzały w skupieniu się. Bardzo zmęczony, położył się do łóżka wcześniej niż miał w zwyczaju, bo zaraz po zachodzie. Zgasł jeszcze zanim Słońce zdążyło się obudzić. Ogromnie to przykre, że potrafił tak wiele i posiadał tak wiele, a jednak znalazło się coś, co było od niego silniejsze. Mimo swojej mądrości nie potrafił przyznać, że toczy walkę z nierównym przeciwnikiem i sam nie da rady.

Wtedy filozof skończył mówić, a przy ognisku gdzie siedzieliśmy, zaległa ogromna cisza pełna napięcia. Słychać było tylko trzask iskier wylatujących pod niebo i krótkie, urywane oddechy słuchaczy. Filozof odezwał się znowu: Posłuchajcie teraz, Drodzy, tej historii jeszcze raz wiedząc, że „homme" to z francuskiego „człowiek".

Zjawa

Tu i teraz

Kiedy wybucha wojna ludzie powiadają: „To nie potrwa długo, to zbyt głupie. I oczywiście, wojna jest na pewno zbyt głupia, ale to nie przeszkadza jej trwać."

Albert Camus „Dżuma"

Teraz u nas wybuchła wojna, całkiem inna niż to, co mogłoby kojarzyć się nam z tym słowem. Odmienna dlatego, bo walczymy z czymś, czego nikt z nas nie może zobaczyć gołym okiem, z czymś od czego nie można po prostu uciec, albo się schować, z czymś czego nie można pokonać wojskiem, ani strzałem z pistoletu. Taka bitwa, której człowiek nie wygra siłą, lecz rozumem. Wojna z czymś potężnym, co pojawiło się niepostrzeżenie, zabierając nam plany, wolność i normalne życie. Walka z siłą, która wydawała się być niegroźna i maleńka. Jak się okazało, coś co jest niewidoczne także potrafi nas pokonać.

Teraz możemy jedynie czekać, modlić się i mieć nadzieję, że to, co przyszło do nas tak szybko, zniknie jeszcze prędzej. Nadzieja to coś, co pozwoli nam przetrwać trudne chwile. To, co na początku wydaje się być ograniczeniem, może pozwolić nam zajrzeć w głąb siebie i odkryć prawdziwą wolność.

„Można powiedzieć zresztą, że począwszy od chwili, gdy najlżejsza nadzieja stała się dla ludności osiągalna, skończyło się rzeczywiste panowanie Dżumy"

Albert Camus „Dżuma"

Niech tak będzie i u nas.

Karbon

Wspomnienia

Absolutnie najpiękniejsza kraina w Polsce. Ostatnie promienie sierpniowego dnia. Koniec wakacji. Sosnowy lasek i ściernisko zaraz po żniwach oblane ciepłym, złotym blaskiem. Na ich granicy mała dziewczynka leżąca z przymkniętymi oczami, wsłuchana w odgłosy lasu. Pyzata buzia wystawiona w stronę zachodzącego słońca. Cichy pomruk wiatru wśród drzew. Zapach igliwia. Rozmowy i śmiechy ludzi kawałek dalej. Leżący obok wielki, kudłaty, wierny pies.

* * *

Śniadanie wielkanocne w ogrodzie w małym izraelskim miasteczku. Galilea. Rodzina siedząca przy stole, wesoło rozmawiająca, pomimo zmęczenia nocną wyprawą na Wigilię Paschalną. Zapach pomarańczy w powietrzu. Jajka, wcale nie pomalowane, ugotowane na twardo. Maca zamiast chleba. Śmiech trzech kochających się sióstr niesiony w dal razem z wiatrem.

* * *

Poranek na tarasie drewnianego domku. Blask letnich promieni słońca odbijających się od tafli jeziora. Zapach ziół na rozgrzanej łące. Kawa z dużą ilością mleka w szarych, prostych i ładnych kubkach. Cztery przyjaciółki z kwiecistymi chustkami na głowach, nieustannie trajkoczące na każdy temat. Spakowane plecaki, przygotowane do drogi, zapowiadają powrót do domu lub nową wędrówkę.

* * *

Ciepła noc w Perugii. Oświetlone, lecz ciche miasteczka środkowych Włoch, oglądane z oddali, wyglądające niczym spokojne wyspy na ciemnym oceanie. Na horyzoncie światła położonego na wzgórzu Asyżu - miasta świętego Franciszka. Cykanie świerszczy, rechot żab, plusk wody w fontannie, poza tym cisza. Odurzający zapach kwiatów w powietrzu. Dwie dziewczyny stojące w otwartym oknie. Twarze mokre od łez. Rozmowa o miłości, przyjaźni, bólu i cierpieniu.

* * *

Wschód słońca na wzgórzu nad miastem. Zimny wiatr próbujący odgonić opadającą już mgłę. Wysoki chłopak i drobna dziewczyna siedzący obok siebie, milczący, wpatrzeni w przestrzeń. Wspomnienia minionej nocy,

świętowania oraz oczekiwania na poranek. Potem wspólna modlitwa na szczycie. No i powrót, powrót do domów przez budzące się do życia miasto, coraz bardziej oświetlone gładkimi, wiosennymi promieniami, wypełnione gwarem kościelnych dzwonów niesionym gdzieś z oddali. Rozmowa dwójki przyjaciół, poważna, szczera, ale bardzo naturalna. W końcu rozstanie, ale jedno z tych dobrych. Prosta droga, śpiew ptaków i świat - piękny jak jeszcze nigdy. Powrót do ciepłego uśpionego mieszkania, do rodziny pogrążonej we śnie, do kubka z kawą i wyczekiwanego łóżka.

* * *

Z zadumy wyrwał ją głos męża.

- To jak w końcu? Jakie jest to twoje najpiękniejsze wspomnienie?

Dłuższą chwilę patrzyła na niego w milczeniu. W końcu odpowiedziała:

- Myślę, że dzień naszego ślubu.

I wróciła do wcześniej przerwanego prasowania.

Broniec

Pech

Myślę, że każdy z nas ma momenty, kiedy pragnie się po prostu zatrzymać. Oderwać się od codziennego świata i skierować swoje myśli zupełnie gdzie indziej. Chcąc odciąć się od rzeczywistości, niektórzy zamykają się w pokoju, przykrywają miękkim, ciepłym kocem i puszczają głośną muzykę, natomiast inni wygodnie rozkładają się w fotelu z ciekawą książką i ciepłym kubkiem rozgrzewającej herbaty.

Pani Felicja w takich chwilach lubi wspominać swoje dzieciństwo. Dlatego pod jej łóżkiem znajduje się średniej wielkości drewniana szkatułka, w której ukryte są jej „małe skarby".

Dzisiaj pani Felicja wróciła z pracy - salonu meblowego „Żyrandol"- bardzo sfrustrowana przez jednego klienta, który przez całe dwie godziny nie potrafił się zdecydować i ostatecznie w ogóle zrezygnował z zakupu nowej kanapy. Zaparzyła sobie herbatę (kiedy zobaczyła, że skończył się miód zezłościła się jeszcze bardziej) i ze skwaszoną miną skierowała się do małej sypialni. Usiadła na łóżku i ostrożnie odłożyła kubek gorącego napoju na szafkę nocną. Schyliła się nisko i wyciągnęła szkatułkę. Przejechała lekko palcem po jej zdobieniach i otworzyła złoconą klamrę.

Delikatnie uchyliła wieczko i jej oczom ukazały się dobrze znane zdjęcia. Ponieważ jej dziadek interesował się fotografią, miała ich naprawdę wiele. Sięgnęła po pierwsze, zdecydowanie ulubione. Przedstawiało ono dwie siedzące na huśtawce dziewczynki – jedną w żółtej, a drugą w zielonej sukience. Na ich twarzach widniały szerokie, szczere uśmiechy (takie, jakie pojawiają się u dzieci, kiedy dobrze się bawią), widocznie któraś z nich powiedziała jakiś śmieszny żart, który bardzo je rozbawił. Patrząc na tą scenę kącik ust pani Felicji lekko się uniósł, a zły humor momentalnie odpłynął. Na huśtawce była właśnie ona razem ze swoją młodszą siostrą. To był dzień jej szóstych urodzin.

Kobieta odłożyła fotografię na bok i sięgnęła po następną. Pomimo tego, że widziała te zdjęcia mnóstwo razy, zawsze zachwycała się nimi tak samo. Co jakiś czas znajdowała w nich mały szczegół, którego nigdy wcześniej nie zauważała. Na przykład nigdy wcześniej nie dostrzegła, że na krześle, na którym siedziała wtedy jeszcze jej młoda mama widnieje napis „własność Eli". Bardzo ją to ujęło.

Na ostatnim zdjęciu, które wyciągnęła z dna szkatułki, na tle pięknej letniej scenerii w promieniach słońca dwunastoletnia pani Felicja kucała w trawie, która przewyższała ją chyba ze dwa razy. Uśmiechnięta od ucha do ucha beztrosko bawiła się z merdającym ogonem łaciatym szczeniakiem, który wesoło lizał jej twarz. Kobieta dobrze pamiętała swojego przyjaciela z młodocianych lat. Wabił się Gilbert, jak ten Gilbert od Ani z Zielonego Wzgórza.

Zadowolona pani Felicja zebrała wszystkie zdjęcia i ostrożnie włożyła z powrotem do szkatułki. Zatrzasnęła wieko i zamknęła klamrę. Schyliła się pod łóżko, pod którym było mnóstwo kurzu (pani Felicja nie przepadała za odkurzaniem). Odłożyła pudełko i powoli zaczęła wstawać. Niestety zachwiała się i próbując złapać równowagę chwyciła się szafki nocnej, na której stała już wystygła herbata. Napój rozlał się na całą podłogę. Chyba pani Felicja będzie musiała jeszcze raz sięgnąć po szkatułkę ze zdjęciami.

Bajka

Qaranta giorni

Ekran komórki zaświecił, a budzik się rozdzwonił. Kwarantanny dzień dwunasty. Nigdy nie przypuszczałem, że życie na statku wycieczkowym może być tak nużące. Przecież już niedługo miną dwa tygodnie odkąd Diamond Princess c/s stanął na redzie portu Jokohama, objęty kwarantanną, uznany wtedy za jedno z największych ognisk koronawirusa na świecie. Wbrew zapewnieniom kapitana, społeczność pasażerów nie zżyła się ze sobą w tej szczególnej sytuacji, ale podzieliła i odseparowała od reszty, wprowadzając na pokładzie nerwową atmosferę. Każdy próbował udowodnić, że jest zdrowy, palcem wytykając potencjalnych nosicieli wirusa - zagrożenie dla wycieczki. Obserwowałem z ciekawością reakcje poszczególnych ludzi na wieść o chorobie. Część, zmorzona gorączką, nie opuszczała swoich kajut. Byli tacy, którzy obsesyjnie i nazbyt często zamykali się w kręgielni. Kolejni nie opuszczali baru. Dzieci próbowały zabijać nudę jak mogły, ale nawet Klub malucha przestał być atrakcyjną opcją. Ja należałem do tych, którzy nie ulegli ogólnemu rozstrojowi. Miałem swój regularny plan dnia i starałem się go trzymać - rankiem śniadanie i przegląd prasy, potem obchód statku i obserwacja pokładów. Potem przychodził czas na drugie śniadanie, zwykle croissant z dżemem morelowym i kawa. Po tym posiłku udawałem się nad basen z książką i siedziałem na leżaku aż do obiadu, co jakiś czas mocząc stopy w wodzie. Popołudniami poświęcałem się aktywności fizycznej - jeździłem na rolkach, biegałem na bieżni, grałem w siatkówkę plażową czy szedłem na siłownię. Spocony, myłem się na chwilę przed kolacją i świeżutki schodziłem na posiłek oraz wieczornego drinka.

Dwunasty dzień izolacji przebiegał zwykłym rytmem - zszedłem na kolację i zamówiłem napój losowo wybrany z karty. Sączyłem go powoli i aż do ostatniej kropli rozkoszowałem się przyjemnym mrowieniem na podniebieniu. Był naprawdę pyszny. Przełknąłem ostatni łyk i poczułem motylki w brzuchu. Początkowo rozbawiło mnie to uczucie, ale śmiech mój zdławiły owe motyle z dzikim furkotem usiłujące wydostać się na zewnątrz.

"Cholera, tylko nie choroba morska" - pomyślałem.

Nagle wszystko wokół mnie zaczęło wirować, a ja poczułem jakbym lewitował. Zacząłem szukać oparcia ławki, na której siedziałem, ale macałem tylko pustą przestrzeń. Spadałem w otchłań, mimo wierzgania nogami i machania rękami. Nie mogłem się zatrzymać. Zamknąłem oczy.

Kiedy znów poczułem grunt pod nogami, a świat przestał wirować, zobaczyłem, że nie jestem w tym samym pomieszczeniu, co wcześniej.

"Zaraz, zaraz - pomyślałem - Czy halucynacje nie są przypadkiem objawem koronawirusa?"

Zacząłem wyliczać symptomy opanowującej świat choroby: gorączka, kaszel, nudności, utrata powonienia i smaku... Nie przypominałem sobie jednak o zdolnościach halucynogennych CoVid - 19. Rozejrzałem się wokół. Znajdowałem się w dużym, drewnianym pomieszczeniu pod pokładem jakiegoś statku. Ładownia pełna była gnijących beczek i zapachu stęchlizny. Szukając wyjścia na pokład, zauważyłem w kącie przy burcie leżącego człowieka. Cały pokryty czerwonymi plamami uśmiechał się do mnie bezzębnym uśmiechem. Z otchłani pamięci wygrzebałem wykład z historii medycyny ze studiów - szkorbut. Podszedłem i obejrzałem ciało tego człowieka, ale szybko zrozumiałem, że w obecnej sytuacji nie jestem w stanie mu pomóc. Nigdy jeszcze w swojej karierze nie doświadczyłem czegoś podobnego.

Wyszedłem na pokład i zobaczyłem, że znajduję się na statku zakotwiczonym nieopodal wyspy. Znalazłem na pokładzie tratwę i wiosło. Wypróbowałem czy unosi się na wodzie i zdecydowałem - opuszczam okręt i chorego człowieka, może będzie się dało coś z nim zrobić, jak dotrę na tę wyspę. Widziałem budynki i port - to właśnie tam dopłynąłem i wyszedłem na brzeg. Miasto, choć spore, było puste, jakby wymarłe. Wyglądem zupełnie nie przypominało Jokohamy z roku 2020. Byłem pewien, że jestem gdzie indziej i w innym czasie, ale nie miałem pojęcia gdzie i kiedy. Przeszedłem kawałek wzdłuż na-

brzeża i zobaczyłem na tabliczce na jednym z budynków, że jestem na wyspie Provaglio. Nazwa ta mówiła mi coś, ale nie mogłem sobie przypomnieć, skąd znam tę wyspę ani gdzie może się znajdować.

Zbliżyła się do mnie grupa czarnych postaci w białych skórzanych maskach z dziobami.

„Karnawał w Wenecji? Jakaś inscenizacja?"

Zadali mi kilka pytań po włosku, ale ja nic nie zrozumiałem. Zacząłem żałować, że nie przykładałem się do łaciny na studiach. To jednak podobne języki - może bym cokolwiek zrozumiał. Widząc, że im nie odpowiem, zmierzyli mnie spojrzeniem, jakim lekarz patrzy tworząc diagnozę i zgodnie orzekli: Quaranta giorni, quaranta giorni. Poczatkowo nie wiedziałem o co chodzi, ale uderzyło mnie słowo quaranta. I oświeciło mnie - kwarantanna, quarantine, quarantena - quaranta giorni musi oznaczać kwarantannę. Grupa ujęła mnie pod ramiona i zaczęła prowadzić w głąb uliczek. Przypomniałem sobie tę maskę z dziobem, którą matka przywiozła mi z Wenecji, zaraz po tym jak zdałem lekarski egzamin państwowy. Z ożywieniem opowiadała, że takie nosili w średniowieczu weneccy lekarze i ja też już mogę...

Kiedy tak szliśmy, oddalając się coraz bardziej od nabrzeża, połączyłem całą moją wiedzę na temat strojów owych lekarzy, masek i wyspy Provaglio. Wszystko wskazywałoby na to, że znalazłem się w czasie zarazy około XIV wieku, w Wenecji, której wyspa jest dzielnicą. Szliśmy ulicami, na których leżało mnóstwo ciał. Były one zbierane przez robotników na wózek i wywożone, pewnie poza miasto. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem tylu zmarłych. Rozpoznałem, że trwają żniwa czarnej śmierci. Szliśmy dalej, a leżący wśród ciał żebracy i chorzy wyciągali ręce w naszą stronę. Nie wiedziałem gdzie idziemy, ale czując na sobie tchnienie śmierci, zacząłem się coraz bardziej niepokoić. Postanowiłem powiedzieć lekarzom, że jestem ich kolegą po fachu. Chciałem uratować siebie i pomóc choć trochę ludziom w potrzebie. Poczułem wstyd, że jeszcze na Diamond Princess, kiedy zbierali się wszyscy lekarze, aby zaradzić kryzysowi na statku, ja realizowałem konsekwentnie swój plan dnia. Nie chciałem psuć sobie urlopu, ale teraz, kiedy zobaczyłem cierpienie ludzi, zrozumiałem, że byłem egoistą i powinienem był się zaangażować. Spróbowałem dogadać się z grupą i zgodzili się, abym pomagał im przy pracy.

Chodziliśmy po kolejnych domach i odwiedzaliśmy chorych. Moja praca polegała na podawaniu fiolek i innych instrumentów potrzebnych do leczenia. Miałem sporo uwag, przede wszystkim co do higieny pracy, ale kiedy tylko zwróciłem im uwagę, sykali na mnie i odsuwali łokciami. Dałem więc spokój. Kiedy późnym wieczorem skończyliśmy pracę, pożegnałem nowych towarzyszy i udałem się wzdłuż nabrzeża w poszukiwaniu miejsca do spania. Zapatrzyłem się w księżyc. Znów świat zawirował, a ja znalazłem się na leżaku przy basenie.

Nie wiedziałem, ile czasu minęło od kiedy wypiłem drinka. Byłem jednak pewien, że co najmniej cała noc. bowiem środek dnia, a drink był przyjemnością wieczorną. Nie rozumiałem, co ani w jaki sposób się stało.

„Czy rzeczywiście byłem w przeszłości? Czy był to tylko mój sen?"

Sięgnąłem po smatfona i zacząłem sprawdzać informacje. Okazało się, że w XIV wieku w Europie rzeczywiście szalała epidemia dżumy, a Wenecjanie radzili sobie z nią ubierając lekarzy w maski wypełnione w dziobach ziołami i kadzidłem oraz wysyłając przybyszów z zewnątrz miasta na quaranta giorni, czyli dzisiejszą kwarantannę. Dzięki swoim działaniom udało im się znacznie zmniejszyć liczbę zachorowań w porównaniu z resztą Europy. Wtedy też Giovanno Boccaccio napisał "Dekameron", co natychmiast dodałem do mojej listy książek do przeczytania, jako pierwszą pozycję. Kiedy ochłonąłem po niespodziewanym spotkaniu z czarną śmiercią, aktywnie zaangażowałem się w pomoc chorym i zaczęło mi to sprawiać przyjemność.

Nadszedł koniec kwarantanny i wszyscy, którzy spędzili na Diamond Princess ostatnie dwa tygodnie ubrani zostali w kombinezony ochronne i maski chirurgiczne. Zapakowani w całości w stroje zostaliśmy wężykiem wyprowadzeni ze statku, przez miasto, aż do szpitala na badania. Pochód przez miasto prasa porównała do dans macabre kosmitów i sądzę, że miała w tym stwierdzeniu dużo racji.

Pimpolia Picea

Lete

Ranny mały ptaszek zaświergotał i smyrgnął gdzieś nad jego głową. Nie zobaczył go jednak. Od wielu dni nikogo nie widział, oprócz samego siebie. Nie był to jednak widok, który chciał oglądać, albo który mógł go satysfakcjonować. Ostatnie resztki godności już dawno poszarpał i rozwiał wiatr, a poczucie własnej wartości wyblakło i zmalało na słońcu. Siedział teraz gdzieś pod drzewem brudny, nieogolony i śmierdzący. Pamiętał już niewiele ze swojego wcześniejszego życia, tylko jakieś cienie, które rozwiewały się, gdy tylko chciał się do nich zbliżyć. Nie obchodziło go to jednak zbytnio. Nie chciał się zbliżać, właściwie cienie tylko mu przeszkadzały. Nie miał pragnień oprócz jednego, by nareszcie zapomnieć. Zapomnieć przede wszystkim, kim jest. Zapomnieć o wstydzie, zanurzyć się w braku świadomości, braku pamięci i braku świata.

W jednym z jego wspomnień, które jeszcze posiadał, a które zawzięcie zwalczał w swojej głowie, był niewielki chłopiec, którego głos przypominał mu dawne, słoneczne czasy. Nie siedział wtedy na swojej planecie otoczony nieożywionymi przedmiotami. Nieważne. Odrzucił to jeszcze szybciej niż do siebie dopuścił. Na szczęście ten chłopiec szybko sobie poszedł, uznając swoją porażkę.

Pewnego dnia zaświtała mu myśl, przypomniał sobie opowieść, którą sam sobie kiedyś wymyślił, w czasach, kiedy jeszcze potrafił wymyślać opowieści. Wstał, czego już dawno nie robił, i poszedł na wschód. Skąd wiedział, że idzie na wschód? Nie wiedział, po prostu szedł za opowieścią. Szedł, gnany pragnieniem, które dręczyło jego wnętrzności od bardzo dawna. Szedł jednak nocami, nikogo nie chciał widzieć podczas swojej odysei. Gdy wstał któryś już ranek z kolei w czasie jego włóczęgi, przez zamglone oczy zobaczył pewną wysepkę. Skierował tam swój chwiejny krok. Zobaczył mały, zgrabny domek i całkiem zadbane poletko. Serdecznie zapraszało i kusiło nowym życiem. Ominął je szerokim łukiem i poszedł dalej nie spoglądając za siebie.

Kierowany pragnieniem wciąż szedł przed siebie nie zważając na innych. Właściwie inni też na niego nie zważali. Nikt by nie zliczył ile razy ktoś splunął mu pod nogi i ile obelżywych słów padło pod jego adresem. Jednak ta jedna myśl była silniejsza od naporu świata, a on kurczowo się jej trzymał wiedząc, że to jego ostatnia nadzieja. Nareszcie doszedł. Poznał to miejsce, bo wyglądało właśnie tak jak powinno wyglądać. Zszedł schodami w dół. Lekko się zataczając ominął wielkiego psa, który leżał zaraz przed wejściem i potykając się o próg wszedł do środka. Od razu zauważył ponurego staruszka, który łypał na niego spode łba, ale się nie odzywał. Zignorował go. Poszedł prosto ciemnym korytarzem w kamienną ciszę.Szedł długo.

Brama była otwarta, tak jakby wszyscy o nim zapomnieli. Nie przejmował się tym, dawno już się niczym nie przejmował. Nareszcie był w tym miejscu, o którym myślał i które sam stworzył przez dni wędrówki. Podszedł do jednego z cienkich strumyczków, które sączyły się powoli z ceglanych ścian i wziął nieduże naczynko, które stało na wyciągnięcie ręki. Zanurzył je w kałuży i podniósł do ust. Podczas tego ruchu jego ręce przestały drżeć, skóra naciągnęła się, a oczy na ułamek sekundy rozbłysły.

„Nareszcie" pomyślał i zapomniał.

Młody

Ouroboros

uroboros. Znowu otworzyłem oczy. Znów podniosłem się z łóżka. Znowu podszedłem do okna. Znowu zobaczyłem szarą, nudną ulicę i jej gwar - dziś nieco przyciszony. Takie rzeczy, które dzieją się tylko dziś, dają szczęście, bo zbyt wiele rzeczy dzieje się znowu. Ale chyba już zdążyłem się przyzwyczaić do życia w pustej mgle codzienności. Popatrzyłem na zegarek. Jeżeli tramwaj znów się spóźni, to zostało mi piętnaście minut. Znów zaparzyłem kawę i znowu złapałem ciastko w locie. Ubrałem, ten sam co zawsze, nudny garnitur, który niegdyś był w kolorze głębokiej, morskiej toni. Teraz dużo bardziej kojarzył mi się ze łzami. Wyszedłem.

Tak jak myślałem - tramwaj znów się spóźnił. A ja znowu zdążyłem. Czasem naprawdę marzę, żeby na niego nie zdążyć, żeby choć raz się spóźnić, przeklnąć i zmusić swój mózg do wymyślenia alternatywnej trasy. Im bardziej jednak pragnę, żeby tramwaj mi uciekł, tym bardziej na niego zdążam. -Cholerny świat- pomyślałem i wsiadłem.

Pamiętam, że gdy byłem mały często jeździłem tramwajem do babci. Uwielbiałem stukot kół o szyny, kasowanie biletów, nawet elektroniczny głos pani, która informuje na jakim przystanku się znajdujemy.

Teraz nienawidziłem tej maszyny. Kojarzyła mi się tylko z upływem lat. Taki tramwaj do śmierci. Za każdym razem, gdy do niego wsiadam, jestem starszy o jeden dzień. Może pewnego dnia, gdy wsiądę jako trzęsąca się łupinka człowieka, to właśnie tu moje ciało oderwie się od duszy? Nie wiem. Podobno najważniejsze jest to co tu i teraz. Za oknem mgła i deszcz. Wysiadłem.

Przede mną stał wysoki wieżowiec, w którym odbijała się cała ulica. -Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca- pomyślałem czytając po raz 128 739 napis "Ministerstwo tworzenia nowych słów. Najlepsza ścieżka kariery.". Pamiętam gdy stanąłem tu po raz pierwszy. Każdy schodek wydawał mi się dziełem sztuki, budynek zachwycał mnie swoim pięknem, a mój granitur nosiłem z dumą. Ta ulica była wtedy idealna. Byłem dumny z tego, że pracuje właśnie w takim miejscu.

Widywałem czasem takich jak ja ówcześnie. Zapatrzonych w swoje garniturowe odbicia w szklanym wieżowcu. Uśmiechniętych i energicznych tak, jakby wypili rano 10 kaw. Zawsze było mi ich bardzo żal. Nie mieli pojęcia o tym, że to właśnie tamtego dnia skończy się ich życie - takie prawdziwe - w którym czas płynie zdecydowanie za szybko, a cały świat zdaje się być właśnie dla ciebie. W którym masz do kogo wracać, bo czeka na ciebie z kolacją i masz marzenia, które stają się celem, kolejnym punktem na liście do osiągnięcia pełni szczęścia.

Przeszedłem przez drzwi automatyczne. Przypomniało mi się, że niegdyś, gdy jeszcze potrafiłem widzieć słońce lubiłem udawać, że to ja steruję tymi drzwiami i że, gdy tylko klasnę, one się otworzą. Teraz już wszytko było mi obojętne.

Minąłem dobrze znane mi korytarze. Myślę, że nawet z zawiązanymi oczami potrafiłbym odnaleźć właściwą drogę. W pierwszych miesiącach dosyć często się gubiłem. Ach, jakie to było urocze, gdy za każdym razem szukając swojego biura, trafiałem do innego działu ministerstwa. Wtedy jeszcze znałem się na czasie i potrafiłem powiedzieć co działo się którego dnia, bo każdy był na swój sposób wyjątkowy.

Dotarłem, rozłożyłem na stole wszystkie potrzebne papiery i włączyłem komputer. Tak minął, już nawet nie wiem który, więc po prostu kolejny dzień z życia pracownika miejsca z najlepszą ścieżką kariery.

Droga do domu nie różniła się za bardzo od tej porannej, chociaż jakiś staruszek na fotelu za mną miał atak serca i zmarł.

Wróciłem do mieszkania otulonego mrokiem. Zaparzyłem herbatę i położyłem się. Zasnąłem czekając na inne jutro.

Nie nadeszło. Nie było jutra.

Mea culpa.

Ocknąłem się, bo sekretarka wywołała mnie jako następnego. Popatrzyłem na nią ze współczuciem i wyszedłem. Nie poszedłem na tę rozmowę rekrutacyjną. Rozpiąłem marynarkę i rozluźniłem krawat. Wracałem do domu przez park. Usiadłem na jednej z ławek i ze swojej torby wyciągnąłem farby oraz kawałek tekturki. Zacząłem malować swoje życie.

Perła

Ucieczka

Nastała noc - ulubiona pora. Wziął rozbieg i skoczył. Wylądował na następnym dachu, amortyzując upadek przewrotem. To był już trzeci dzień bez domu (pierwszy raz tak długo) i zapasy drastycznie się skurczyły. Wiedział, że musi zdobyć jedzenie, ale nie miał pojęcia jak to zrobić. Nawet gdyby mógł, pracować nie potrafił, więc chyba będzie musiał ukraść. Ale od kogo? Przecież nie od jakichś ludzi, których jedyną winą było to, że zostawili otwartą klapę na dachu. Uznał, że pójdzie do najbogatszej dzielnicy, bo tam jedzenie było dla mieszkańców niczym i nigdy nie zauważali jak coś znikało.

Oni naprawdę mało rzeczy zauważają. Kiedyś siedziałem przez 5 dni w szafie i wkradałem się nocą.

To od tej pory pokochał noc i takie życie. Wziął swój notes, w którym miał swoją własną mapę miasta z zaznaczonymi przejściami. Narysował kolejną czerwoną kropkę oznaczającą dach z otwartym strychem i ruszył biegiem przeskakując pomiędzy dachami i przechodząc po wąskich kładkach, które sam ustawiał ze znalezionej deski albo z rury rusztowania. Kiedy biegł, czuł wolność i to było to, co sprawiało, że tak uwielbiał dachy. Miał na nich kontrolę nad tym gdzie pójdzie, czy pójdzie i którędy pójdzie. Miał możliwość wyboru, ale ta możliwość kosztowała wygodę posiadania domu, a on za swoim nie tęsknił.

Wreszcie dotarł do domu bogacza i wślizgnął się przez dziurę. Zobaczył dwa ślepia i usłyszał warkot, który ustał jak tylko powiedział „cześć Ares". Wielki pitbull podszedł do niego i zaczął się łasić. Chwilę głaskał psa, ale wiedział, że musi zdążyć przed dniem więc wyszedł i zaczął skradać się za krzakami cisu. Dotarł do drzwi dla służby i wyciągnął klucz zza obluzowanej cegły. Wszedł do domu i szybko wyłączył alarm. Podszedł do spiżarni i zaczął wybierać jedzenie. Spiżarnia była ogromna, ale pełna bezużytecznych frykasów, których na dachu przecież nie przyrządzi. Zrobił jeszcze krótki wypad do komody z zastawą, wziął trochę srebnych sztućciów, talerz i pieniądze ze skrytki. Chwilę później znowu uciekał, jak najszybciej potrafił, bo te okolice napawały go wstrętem i strachem. Kiedy dotarł na miejsce, podszedł do komina, żeby się o niego oprzeć i nagle zobaczył dziewczynę, która przyglądała mu się z balkonu.

- Co tu robisz? - zapytała.

- Chwilowo tu mieszkam. - odpowiedział.

- Jak dla mnie wyglądasz, jakbyś uciekał - stwierdziła. On jednak nie odpowiedział, bo sam nie był pewien czy dziewczyna ma rację.

Wziął worek z jedzeniem i zaczął jeść. Kiedy wyciągnął sztućce, zobaczył kątem oka zdziwienie dziewczyny. Spodziewał się pytania skąd ma sztućce, ale ku jego zaskoczeniu nie padło.

Gdy skończył jeść, położył się na dachu i patrzył w gwiazdy. Podniósłszy się zobaczył, że dziewczyna przygląda się łyżeczce z masy perłowej, kryształu górskiego i srebra.

- Jeśli chcesz to ją weź. Ja jej nie potrzebuję. - powiedział.

- Dzięki. -chwilę później jej nie było.

Po kilku dniach uznał, że kiedyś trzeba wrócić do normalnej szarej codzienności. Wstał i zaczął biec. Wreszcie się zatrzymał i zobaczył, że dobiegł do bogatej dzielnicy i że jest na dachu tego samego domu, z którego kradł jedzenie. Skoczył na balkon i wślizgnął się przez otwarte okno. W pokoju było chłodno, ale do zimna zdążył się już przyzwyczaić. Chciał się chwilę przespać, ale nie mógł zasnąć. Nad ranem usłyszał że ktoś woła.

-Widział ktoś łyżeczkę?! Jedna się zgubiła!

-Nie tato! - odkrzyknął.

Cynamon.

DZIEWIĘTNASTKA

Dominikańskie Duszpasterstwo Młodzieży „Przystań" przy klasztorze OO. Dominikanów w Krakowie

ul. Stolarska 12, 31-043 Kraków | redakcja19@gmail.com | przystan.krakow.dominikanie.pl

Opieka redakcyjna: o. Marek Rozpłochowski OP

Redaktorki naczelne: Natalia Zabdyr, Klara Piotrowska

Wykaligrafowane inicjały w tekstach: Aniela Smoczyńska

Napis "Dziewiętknastka": Jagna Kubik

Teksty: Zofia Wicher, Tomasz Ślęzak, Zuzanna Stawiska, Michał Porąbka, Maria Świerczyńska, Jadwiga Wołek, Klara Piotrowska, Kinga Zazula, Joanna Węgiel, Helena Schoen-Żmijanka

Korekta: Maria Świerczyńska, Jadwiga Wołek

Skład: Dominika Chaberka